Nr. 266. Lwów — Niedziela dnia 17 Listopada. Rok 1895

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 c.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 3 „
(za) tłustym garmondem po . . . . 6 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 25 c.
Reklamy . . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś:	F. 24 po Św.	N. 24 po Sosz.	Adres Redakcyi i Administracyi:	Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.	Wschód słońca g. 7 m. 18	Długość dnia g. 8 m. 55
Jutro:	św. Ottona Ap.	Pawła Arch.	Ulica Sykstuska l. 45.		Zachód „ „ 4 „ 13	Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 16 listopada.

Jest zawsze pewna metoda w sposobie prześladowania tego, co polskie. Więc dlatego ci, co w tej mierze ten sam mają cel, choć z różnych wychodzą punktów, jednak tych samych używają środków. I tak *Schlesische Zeitung* równie jak *Dniewnik Warszawski*, dopatrzyła się w książce p. Koźmiana: „Rzecz o roku 1863" i gabinecie hr. Badeniego, zapowiedzi, ni mniej ni więcej, jak tylko, odbudowania Polski.

Za pomocą jakiego procesu umysłowego i na podstawie jakiego rozumowania zespolić można było, w odwrotnem do rzeczywistości znaczeniu, te dwa przedmioty — nie łatwo pojąć. Ale co zrozumieć nie trudno, to wspólny zamiar, który jednym i tym samym posługuje się fałszem, aby zadość uczynić ślepej zawziętości.

Austrya zaprosiła mocarstwa do wspólnego postępowania w sprawie tureckiej. Myśl, że taka wspólność jest konieczna, aby uniknąć strasznych niespodzianek, podniósł Salisbury; wykonał ją Gołuchowski. Na jego wniosek już się między gabinetami odbyły wstępne narady, na których zapewne mówiono na razie tylko o podstawach porozumienia. Jeśli ono nastąpi, natenczas z gmatwaniny sprzecznych interesów wydobyta będzie wola Europy. Nie uchyli to wprawdzie niebezpieczeństw, któremi sprawa turecka grozi naszej części świata, ale przynajmniej znacznie je zmniejszy. Za wcześnie jeszcze utrzymywać, że Austryi uda się w ten sposób oddać ważną usługę sprawie pokoju, ale już ma ona tę zasługę, że wskutek jej wniosku sytuacya musi się wyjaśnić, gdyż z odpowiedzi mocarstw wyniknie, na co można liczyć; karty wszystkich partnerów będą odkryte i każdy w przybliżeniu będzie mógł powiedzieć, co nas czeka: pokój, czy wojna? — i kiedy.

Niezawsze jest dobrze uderzyć w dzwon, aby się odezwał; nieraz lepiej nie wywoływać dźwięków, których już nic nie odwoła; często jakiś egoizm kryje się i hamuje dlatego, że wstyd i niepewność wstrzymują go od pierwszego kroku; ale gdy go zrobi i gdy się przekona, że poszło to gładko, już kroczy dalej zuchwale. W tem leży delikatność sprawy poruszonej przez Gołuchowskiego. Widocznie zatem nadeszła ważna chwila, skoro trzeba było wezwać mocarstwa do szczerych wyznań.

Na głos Austryi odezwie się trójprzymierze i Anglia, — to nie podlega żadnej wątpliwości, bo te cztery mocarstwa pragną jedynie pokoju. Ale nie wiadomo, jaka będzie odpowiedź Rosyi i Francyi. Jeśli pierwsze z tych państw uważa, że oto nadeszła dla niego sposobność do uzupełnienia niedoborów ostatniej wojny z Turcyą i wynagrodzenia sobie utraty Bułgaryi, która już się nigdy nie stanie rosyjską gubernią, to się nie powiodą usiłowania austryackie i jedna tylko wyniknie z nich korzyść, ta mianowicie, że będzie wiadomo, co na pewną metę musi nastąpić i co prawdopodobnie kryje się dalej za ową metą.

Do dwóch wniosków uprawnia wystąpienie dyplomacyi austryackiej. Raz do tego, że mocarstwa już widocznie straciły wiarę w zdolność tureckiego rządu do pokonania domowych trudności; a powtóre do tego, że okupacya Armenii przez rosyjskie wojska stała się prawdopodobną, może nieuniknioną, a zatem potrzeba dać jej pewną legalność, otoczyć warunkami, stworzyć z niej czyn nie na własną rękę i własne ryzyko, ale czyn, dokonany z upoważnienia Europy, aby okupacya nie zmieniła się w zabór. Rzecz naturalna, że Rosya, uprzedzona w ten sposób przez porozumienie Europy i przez nią obdarzona mandatem, którego zapewne woli nie mieć, gdyż to zawsze są więzy, od których byłaby wolna działając na własną rękę, może z czasem nie dotrzymać warunków mandatu i nie ustąpić z zajętej Armenii, ale wtedy będzie dostatecznym powodem do traktowania jej jako mocarstwo kontraktołomne.

Zatem teraz, w skutek austryackiego wniosku, może powstać ziarno nowej dla przyszłości kwestyi, w której Rosya będzie miała do czynienia z Europą. Sprawa turecka widocznie zmienia swój kształt, rozpada się na dwie odrębne sprawy: jedna jest ormiańska — i ta będzie załatwiona prowizorycznie; druga — sprawa niepodległości i całości reszty ziem tureckich. Pierwszą mocarstwa traktują teraz dyplomatycznie, a na straży drugiej stawiają swe eskadry. Rozpatrzmy każdą tę sprawę osobno.

Turcya jest bezwładna, a ze wszystkich stron otoczona chciwymi sąsiadami, z których każdy chciałby coś urwać z jej ciała, przyczem bardzo łatwo mogą ci sąsiedzi pokłócić się między sobą. Gdyby im zostawić zupełną wolę, wnet cały półwysep Bałkański i wszystkie wyspy greckiego archipelagu stanęłyby w ogniu, a ponieważ jeszcze muzułmanie walczyliby z chrześcijanami, Pomacy z Bułgarami, Fanaryoci ze Słowianami i Albańczykami, przeto byłaby długa i straszliwa jatka. Tego uniknąć trzeba, choćby tylko ze względu na handel europejski, a zatem panowanie tureckie powinno zostać, nie dlatego, żeby na to zasługiwało, ale że już zdawna istnieje i wytworzyło jakieś znane warunki bytu, podczas gdy to, coby na ruinach Turcyi powstało, jest zupełnie nieznane. Więc eskadry europejskie, które się zbierają na wodach Lewantyńskich, będą zarówno czuwały nad bezpieczeństwem Europejczyków i chrześcian, jak nad zachowaniem się sąsiadów Turcyi i jej własnych podminowanych prowincyi, a wreszcie będą na każde zawołanie ambasadorów. Tu status quo nie powino być naruszone i pod tym względem nie ma dziś w Europie dwóch zdań.

Inaczej się przedstawia sprawa ormiańska. Początek jej sięga czasów berlińskiego kongresu, na którym tak ogólnikowo postanowiono o niej, że już wówczas powiedziano, iż w niej został żar pod popiołem. Dziś jeszcze niepodobna powiedzieć, kto ów żar rozdmuchał: Anglia, czy Rosya. To wszakże pewna, że pierwsza działała jawnie i już po przeszłorocznych rzeziach, które przecież musiały powstać z jakiegoś poduszczenia; natomiast druga, zgodnie ze swą metodą, nurtowała skrycie. Aby rozstrzygnąć, kto żar rozdmuchał, będzie może najlepiej zastanowić się nad tem, komu on był potrzebny. Jest zdanie, że Rosya zdawna pracowała nad zawichrzeniem Armenii, aby mając za sobą Francyę, więc już nie będąc w takiem odosobnieniu jak w roku 1877ym i 1878ym, rozszerzyć się w głąb Azyi Mniejszej — i dążyć do morza Śródziemnego z tamtej strony. Faktem jest, że rok temu nagle na wielu punktach Armenii powstały bójki Ormian z Kurdami i Turkami, kraj się odrazu zawichrzył, rozświecił łunami pożarów, jękami napełnił całą Europę. Wówczas Anglia wystąpiła z żądaniem autonomii dla Ormian, nawet pewnej dla nich politycznej odrębności. Nie mogło to być wynikiem sentymentalizmu, do którego państwo brytańskie nigdy nie okazywało skłonności, więc było albo odpowiedzią na rosyjskie minowania w Armenii, albo wprost chęcią stworzenia zapory rozszerzaniu się Rosyi. Powstało „trójprzymierze wschodnie", w którem carat i republika działały tak, iż Anglia nie mogła niczego się dobić od sułtana. Te trzy ogromne potęgi szły razem, a jednak od słabej Turcyi przez cały rok nic nie uzyskały. Jest to dowodem, iż w gruncie rzeczy nie szły one razem, czyli, że carat nie chciał reform, których żądała Anglia, natomiast chciał rozwoju zawichrzeń, aby w końcu okupacya Armenii stała się konieczną. Rozkiełznanych uczuć niepodobna było powstrzymać; co z razu było dziełem agitacyi band wkraczających do Armenii z Kaukazu, to w końcu stało się ruchem narodowym i religijnym, niepowstrzymanym i trudnym do opanowania zwykłymi środkami. Na reformy sułtan nareszcie się zgodził, ale już było zapóźno: ani zadowolnić się niemi nie chcą Ormianie, ani wykonać ich nikt nie potrafi. Więc sprawa ormiańska wymaga załatwienia nadzwyczajnymi środkami, krórymi rozporządza jedna tylko Rosya. Oprócz niej nikt inny w Europie, po prostu z powodów geograficznych, nie może wykonać okupacyi. Z tym faktem wszyscy muszą się zgodzić, bo innego wyjścia nie ma. Byłoby ono, gdyby mocarstwa postanowiły uważać wypadki w Armenii za wewnętrzną sprawę turecką, do której nikt mięszać się nie powinien; lecz na takie wyjście nie przystanie Rosya, gdyż okupacya jest jej celem. Zatem pozostaje tylko zmniejszyć złe, którego niepodobna uniknąć: zgodzić się na okupacyę, ale określić jej warunki i termin, oraz stworzyć jakąś międzynarodową komisyę dla przeprowadzenia reform.

Rosya, jeśli nie będzie mogła inaczej, to przyjmie te więzy, aby je zrzucić przy dobrej sposobności. Jużci, nie dla pięknych oczu ormiańskich, ani dla dobra Turcyi weźmie się ona do ciężkiej pracy uspokojenia Armenii; za- [illegible] zatarg.

Piszą nam z Wiednia 15 listopada:

Pomimo wszelkich uspakających zapewnień [illegible] obecną sytuacyę zapatrują się [illegible] pesymizmem. Rozbiór Turcyi staje na porządku dziennym. Przewidują, że Rosya, pomimo wszelkich zapewnień, iż pragnie postępować w zgodzie z wszystkiemi mocarstwami, niebawem wkroczy do tureckiej Armenii z Karsu i przez Trebizondę. Tutejszy ambasador francuski Lozé, który otrzymał pierwszorzędną ambasadę, ponieważ jako dyrektor policyi w Paryżu nie umiał sobie dać rady ze studentami, jakoby publicznie odbywa studya karty Azyi Mniejszej, badając i pytając, który kąsek mogłaby zabrać Francya? Oczywiście Syrye. Ale czy także Palestynę i czy Rosya swemu drogiemu sprzymierzeńcowi gotowa oddać Jerozolimę? Oto pytanie. To pewna, że stosunki obecnie są o wiele mniej korzystne, niż pomiędzy rokiem 1875—1878. Bo wtedy Rosya była izolowana, dziś panuje nad zhypnotyzowaną Francyą. Wtedy Rosya odosobniona musiała się poddać uchwałom kongresu berlińskiego, teraz ze spółce z wiernopoddańczą Francyą gotowa porwać się do gwałtów przeciwko koncertowi europejskiemu. Słowem na widnokręgu zjawiają się czarne chmury.

Wobec przygotowujących się wypadków zatarg w parlamencie wygląda na burzę w szklance wody. Trzeba jednak podnieść, że się zanosi na rozbicie klubu hr. Hohenwarta. P. Dipauli upiera się przy wniesieniu na ostatniem posiedzeniu interpelacyi, dlaczego rząd rozwiązał Radę miejską? A przecież w dekrecie namiestnika i w wczorajszej deklaracyi hr. Badeniego w komisyi budżetowej powody owego kroku zostały tak dobitnie wyjaśnione, że interpelacya w danym razie byłaby prostą demonstracyą. Że ją wniosą antysemici, o tem nie wątpić. Ale klub konserwatywny nie ma żadnego powodu do podobnego wystąpienia. P. Dipauli chodzi o to, aby cały klub konserwatywny przeciągnąć na stronę Luegera. Właśnie dlatego klubowi trudno będzie zgodzić się na interpelacyę. Jeżeli na dzisiejszem zebraniu klub odmówi pozwolenia na wniesienie interpelacyi, pp. Dipauli, Ebenhoch, Morsey grożą secesyą. (Odmówił. Patrz telegramy. *Przyp. Red.*)

Dotychczasowe przepisy, stawiane w komisyi do reformy regulaminu Izby, są całkiem niedostateczne. Rada honorowa, któraby wygłosiła jedynie naganę, niezdoła poskromić wybryków. Pp. Steiner et Comp. powiedzą swym wyborcom i wielbicielom, że Rada honorowa składa się z żydów, — albo, gdy w niej nie będzie zasiadał żaden żyd, z pachołków żydów — („Judenknechte"), że zatem nagana Rady honorowej przynosi zaszczyt! Na takich posłów nie ma innego środka dyscyplinarnego, jak wykluczenie na pewną ilość posiedzeń i pozbawienie dyet. Ze stanowiska liberalnego, ani nawet z demokratycznego, nie można przecież opierać się takim przepisom, skoro regulamin parlamentu republikańskiej Francyi zawiera przepisy o wiele ostrzejsze. Właśnie ten jest rzeczywistym obrońcą parlamentaryzmu i uczciwej wolności, kto pragnie zabezpieczyć normalny ład obrad parlamentarnych.

Antysemicki *Deutsches Volksblatt* na podstawie depeszy *Neue Freie Presse* o uwagach naszych w *Przeglądzie* wmawia w swych czytelników, że ubliżyliśmy Niemcom austryackim, twierdząc, że choćby wszyscy stali za Luegerem, rząd nie potrzebowałby uwzględnić żądań stronnictwa antysemickiego. W naszych uwagach tego nie było i także z niedokładnej zresztą depeszy *N. Fr. Presse* nie można wysnuć tych wniosków, które za pomocą zręcznego eskamotażu wysnuwa z niej *Deutsches Volksblatt*. Gdyby cała ludność niemiecka Austryi stała za Luegerem, to z taką sytuacyą z pewnością trzebaby się liczyć. Wprawdzie i w takim razie nie możnaby podawać w wątpliwość prawa Korony niepotwierdzenia burmistrza i nie możnaby twierdzić, że p. Lueger koniecznie posiada osobiste kwalifikacye na burmistrza, ale, powtarzam, sytuacya byłaby odmienna. Na teraz jednak za p. Luegerem stoi tylko połowa wiedeńskich wyborców, bo druga połowa albo głosowała na kandydatów liberalnych albo nie brała udziału w wyborach wrześniowych. Podnosić więc p. Luegera do godności męża zaufania całej ludności niemieckiej jest prostym „schwindlem", tem zabawniejszym, że w Izbie poselskiej stronnictwo niemieckie, liczące przeszło 100 głosów, jest jemu stanowczo przeciwne, gdy także konserwatywni posłowie niemieccy, z drobnymi wyjątkami, nie „stoją za p. Luegerem". Jeżeli dalej *D. Volksblatt* pyta, czy parlament będzie może obradował w Tarnopolu lub Kołomyi, odpowiedź prosta, że go nie potrzeba przenosić tak daleko. Ale parlament austryacki już obradował w Kromieryżu, gdy ruchawka wiedeńska r 1848 czyniła koniecznem uwolnienie reprezentacyi państwa z pod teroryzmu ulicy wiedeńskiej. O tem powinni pamiętać wielbiciele Luegera „w koronie cierniowej", zanim warcholską agitacyę doprowadzą do ostateczności.

Korespondencye.

Warszawa 13 listopada.

(*Azet*). Nawiązując rzecz do poprzedniej mojej korespondencyi, przedewszystkiem pisząc o peryodycznej prasie warszawskiej, nie można nie zauważyć, że niezmiernie charakterystyczne stanowisko zajmuje w niej tygodnik *Rola*, której wydawcą i redaktorem jest p. Jeleński. *Rola* jest pismem *par excellence* antysemickiem, a jakkolwiek redakcya tego pisma utrzymuje, że antysemityzm jej opiera się jedynie o grunt ekonomiczny, ze sposobu jednak traktowania tej sprawy i z zaciekłości, jaka ze szpalt *Roli* wygląda, nie można powiedzieć sumiennie, aby taki antysemityzm nie posiadał cech rasowej nienawiści. To jest właśnie najsłabszą stroną *Roli*, która znowu będąc istotnie katolicką i to bezwzględnie i bez żadnych zastrzeżeń, nie może nie ściągnąć na siebie zarzutu, że wiara katolicka, absolutnie do nikogo nienawiści nie dopuszcza, bo na nienawiści nic się nie buduje, a więc i antysemityzm *Roli* mimo jej katolickości, przez katolicyzm pochwalany być nie może. Ale nie w tem jeszcze leży charakterystyczne stanowisko *Roli* w peryodycznej prasie warszawskiej. To, co się w tem piśmie drukuje, bez względu na stronę literacką, która zresztą jest po większej części słaba — jest wyrazem ogromnej i nie małej liczby ludzi, którzy są antysemitami mniejszymi lub większymi, ale są i to we wszystkich klasach społeczeństwa, od najbiedniejszych do najbogatszych. Tem się tłomaczy, że *Rola*, mimo słabej i częstokroć wodnistej strawy literackiej, przez swą tendencyę antysemicką, zjednała sobie około dziesięciu tysięcy abonentów, a dział ogłoszeń ma bardzo obszerny i największy ze wszystkich dzienników i pism, wychodzących w Warszawie, z wyjątkiem *Kuryera Warszawskiego*.

Solidarność w popieraniu kupców i przemysłowców chrześcijańskich w Warszawie, posunięta jest tak daleko, że firmy bardzo bogate, które nigdzie żadnych ogłoszeń nie dają, w *Roli* je zamieszczają i drogo opłacają dlatego tylko, że solidaryzują się z antysemityzmem redakcyi tego pisma, które zresztą żydowskich ogłoszeń absolutnie nie umieszcza żadnych. Tym sposobem nie można się dziwić, że p. Jeleński, przed kilkunastu laty właściciel niepozornej czytelni i wypożyczalni książek, którego później broszura p. t. „My, żydzi i Niemcy", zrobiła mu pewien rozgłos, ale który, jak to powiadają, klepał biedę i założywszy *Rolę*, ciężką z początku miał z nią przeprawę, bo nietylko mu nogę podstawiano, ale i ośmieszano, dziś jest człowiekiem bardzo zamożnym i właśnie kupił sobie kamienicę w Warszawie za sto kilkadziesiąt tysięcy rubli. Jedną cnotę przyznają nawet najwięksi wrogowie wydawcy i redaktorowi *Roli*: żelazną wytrwałość i absolutną konsekwencyę. Opowiadają, że p. Jeleński, pod względem nawet drobnostek życia powszedniego, codziennego, swój antysemityzm posuwa do ostatecznych granic i gdyby mu przyszło chodzić boso dlatego, że w miejscu, w którem by się znajdował, nie byłoby szewca chrześcijańskiego tylko żydowski skład obuwia, to z pewnością chodziłby boso, a u żyda butów by nie kupił. *Rola* tej konsekwencyi, doprowadzonej do ostateczności, zawdzięcza bardzo wiele, a w przeważnej części swój byt utrwalony i świetne powodzenie materyalne, bo o literackiem mowy być nie może, gdyż w *Roli* literatura, sztuka i krytyka podporządkowane są bezwarunkowo pod tendencyę społeczną. ona jest tam wszystkiem, reszta tylko forma, lub broń.

Na przeciwległym brzegu, zupełnie skrajnym, stoi *Przegląd tygodniowy*. Pismo także rozporządzające wielką ilością prenumeratorów, poczytne, daleko lepiej pod względem literackim od *Roli* redagowane, z pewną barwą filozoficznego socyalizmu, a pod względem społecznym radykalne. *Rola* i *Przegląd* to najzaciętsi wrogowie, naturalnie nie na polu politycznem, bo o tem tu mowy być nie może, tylko na polu społecznem. I rzecz wielce charakterystyczna: „zacofana", jak ją warszawscy liberałowie nazywają i antysemicka *Rola*, dobiła się fortuny równie jak i postępowy i radykalny *Przegląd tygodniowy* i to w jednym czasie, walcząc ze sobą, gryząc się, szarpiąc i służąc gorliwie i wiernie wyznawanym przez siebie ideom i kierunkom.

Przegląd tygodniowy jest własnością p Adama Wiślickiego, który niegdyś karyerę swoją literacką rozpoczynał w *Gazecie Warszawskiej*, a później zgromadziwszy około siebie młodych ludzi, rozpoczął samoistną redakcyę i dzisiaj posiada własną drukarnię, mnóstwo książkowych wydawnictw, połączonych z *Przeglądem tygodniowym* i naturalnie osobisty majątek *Przegląd tygodniowy* popierany jest dosyć energicznie przez żydów. Z tego wynika, że najlepsze interesa dzisiaj publicyści mogą robić na żydach u nas w Warszawie i w ogóle pod zaborem rosyjskim, czy bijąc ich, jak to robi *Rola*, czy też broniąc, jak czyni *Przegląd tygodniowy*.

Trzeci tygodnik społeczny, p. Świętochowskiego *Prawda* z początku swego wydawnictwa jaskrawy i silny pod względem literackim, dziś w opinii publicznej nie odgrywa żadnej roli i można powiedzieć, że czytelnicy i prenumeratorowie *Prawdy*, bardzo zresztą nieliczni, to zwolennicy i przyjaciele zapatrywań filozoficznych i społecznych p Świętochowskiego, które w ostatnich czasach uległy pewnym modyfikacyom, a cała redakcya *Prawdy*, obecnie ma na sobie cechy pewnego znużenia życiowego i filozoficznej abnegacyi.

Niwa, ze swojemi literackiemi tradycyami, w ostatnich latach nie może jakoś dać sobie rady i zmienia ciągle właścicieli i redaktorów. W takiem właśnie stadyum znajduje się i dzisiaj i trzeba zaczekać, dopóki nowa redakcya nie ustali się — materyalnie, jak dotąd, źle stoi.

Dwa nasze literacko-naukowe miesięczniki: *Biblioteka warszawska* i *Ateneum*, szczególniej pierwsza, dosyć są rozpowszechnione. Oba dwa te pisma nie są własnością jednego wydawcy, lecz pewnego rodzaju akcyonaryuszy. W *Ateneum* rej wodzi p. Chmielowski i krytyce w niem nadaje pewną barwę radykalną, a nie zawsze sprawiedliwą względem tych, którzy inne wyznają przekonania od p. Chmielowskiego.

O peryodycznej literaturze humorystycznej, która w Warszawie ma odrębną charakterystykę i typowość, a pod wieloma względami jest niezmiernie ciekawa, napiszę w przyszłej korespondencyi.

Wiedeń 13 listopada.

Sceny dzisiejsze po rozwiązaniu rady gminnej najlepiej dowodzą, jak dobrze ocenił minister Badeni Luegera i całe jego stronnictwo. Okrzyki: „Precz z gospodarką Polaka!" „Precz z Badenim!" „Niech żyje Lueger!", próby urządzenia demonstracyi przed zamkiem cesarskim, konieczność uspokojenia motłochu aresztowaniem trzydziestu kilku osób... jaskrawo ilustrują usposobienie, jakie wywołał agitacyą czysto rewolucyjną kandydat na burmistrza. Takiego przywiązywania wagi do osoby, a nie do rzeczy, takiego bezwzględnego adorowania naczelnika ruchu politycznego nigdy jeszcze w Wiedniu nie było. Jestto najwybitniejszą oznaką butnie podnoszącego głowę systemu demagogii. Myliłby się jednak bardzo, ktoby te objawy niezadowolnienia ulicy poczytał za coś bardzo ważnego. Lueger, który deklamował dziś w magistracie po ponownym wyborze na burmistrza o „ucisku stolicy i biednej ojczyzny Austryi", opiera się na tłumie niezadowolnionych rzemieślników i niższych urzędników. Ani wyższe duchowieństwo, ani zamożne kupiectwo, ani urzędnicy wyższych kategoryi, ani nawet — co bardzo wchodzi w rachubę — robotnicy fabryczni nie są zwolennikami tej polityki małych celów, a wielkich hałasów. Gminą zarządzać będzie komisarz dr. Friebeis, którego dotychczasową czynność wszyscy poważni mieszczanie wysoko cenią. Wybory nowe rozpisane być mogą dopiero z końcem grudnia, gdyż z powodu listopadowego terminu przeprowadzania się z pomieszkań wypadnie na nowo uregulować listy wyborców i ich prawo głosowania w różnych dzielnicach. Termin samych wyborów — jak przypuszczają — oznaczony zostanie na marzec. Mamy więc czasu cztery miesiące, w których na nowo wszystkie namiętności ludu przez niesumiennych agitatorów rozbudzone być mogą.

Zdaje się jednak, że policya tutejsza, która pod koniec minionej kampanii wyborczej coraz surowszych używała środków przeciw bójkom, kłótniom, wybijaniom szyb i drzwi w lokalach zebrań i innym metodom agitacyjnym Luegerów, Steinerów, Gessmanów i Schneiderów; teraz — pouczona o tendencyi przeciwpaństwowej tego stronnictwa — od samego początku przestrzegać będzie najściślej, aby porządek i pokój nie został zakłócony.

Szans wyborów nikt dziś obliczyć nie może. To jednak jest pewnem, że stronnicy Luegera z obozu chrześcijańsko-socyalnego po ostatnich objawach jego patryotyzmu stanowczo usunąć się muszą od niego, a choć wybierać będą własnych kandydatów antiliberalnych, jednak ci kandydaci na Luegera chyba już głosować nie będą w radzie gminnej. Tylko mała i niewiele znacząca grupa z chrześcijańsko-socyalnego obozu oświadczy się może i nadal za Luegerem. Jego zwolennikami zostaną w[...] narodowcy niemieccy pod wodzą Haucka, [...] którzy z chrześcijańsko-socyalnej grupy [...] wodzą Gessmana i antysemici pod wodzą Schneidera. Zauważyć też wypada, że demokratyczne stronnictwo, które zyskało dość wielkie znaczenie między rzemieślnikami, a podczas ostatnich wyborów nic zdziałać nie mogło, nie zdobywszy się jeszcze na odpowiednią organizacyę, teraz wystąpi z większym aparatem agitacyjnym i niemało wpłynąć może na rozbicie antysemitów i innych radykałów. To samo powiedzieć można o Czechach, którzy po pogromie Luegera dobrze już wiedzą, czego się po nim spodziewać mają.

Liberałowie dziś już nawołują do jak najszybszego organizowania się i zwalczania otwarcie rewolucyjnego kierunku, który w niepohamowanej namiętności, rozpocząwszy biadania na żydów, zatrzymać się nie myśli nawet wobec wyraźnie stwierdzonej woli Monarchy. Liberałowie bardzo wiele zgrzeszyli opieszałością, jeszcze więcej brakiem poczucia potrzeb warstw niższych i narodowości nieniemieckich. Odrobić im wypada ciężkie przewinienia, jeżeli chcą wyjść z walki, jako stronnictwo jako tako ważne.

O jednolitej większości liberalnej najzaciętsi optymiści tego obozu nie marzą. Ale możnaby ugrupować większość z liberałów, konserwatystów i umiarkowanych demokratów,

---

6)

KONIEC EPOPEI.

(Ciąg dalszy).

IV.

Wojna prusko-francuska. — Wyjazd do armii — Pobyt w obozie. — Wzbronienie powrotu do Paryża. — Smutna podróż. — Wyjazd do Anglii.

Przez następne dwa lata wypadki i nieszczęścia posypały się gradem na Francyę i dom panujący. Ministeryum Oliviera, zabójstwo Wiktora Noir, rozruchy i demonstracye, wreszcie wypowiedzenie wojny i pierwsze klęski, wszystko to następowało po sobie z błyskawiczną szybkością. Napoleon III-ci odniósł tylko jedno zwycięstwo w plebiscycie d. 7 go maja 1870 go roku i to głównie na korzyść syna, gdy głosowanie powszechne utwierdziło dziedziczność w następstwie tronu.

Cesarz nie był za wojną, jakkolwiek wierzył, że Francya lepiej jest do niej przygotowaną, niż się to w skutkach okazało; był za to pewnym, że Niemcy mają naprawdę owe 1,200.000 żołnierzy, o których Thiers, choć opozycyonista, twierdził, że są prostą fantasmagoryą, złudzeniem na strach dla Francuzów przez Niemców wymyślonem.

Do wojny parła cesarzowa, której Napoleon III-ci słaby i schorowany ulegał coraz bardziej. Wielkiej energii trzeba było, odwagi i siły woli niemałej, żeby jechać do obozu przy bólach, jakie cesarz znosił z powodu świeżo odbytej operacyi. Wiedząc jednak, jak w kampanii włoskiej obecność jego wśród armii podniecała męstwo żołnierzy i zapał dowódców, Napoleon wyruszył w pole dnia 28 go lipca, a że chcąc być silnym, trzeba mieć wiarę w powodzenie, więc też i cesarz, aby tę wiarę wzbudzić w narodzie i przekonać, że ma nadzieje jak najlepsze, zabrał z sobą na pole bitwy to, co miał najdroższego — swoje dziecko.

Dnia 27-go lipca książę cesarski przyjmował komunię w kaplicy St. Cloud, a na drugi dzień o 9-ej zrana siadał razem z ojcem do pociągu dworskiego kolei, który zajechał po nich przed sam pałac po umyślnie ułożonym torze. Przy rozstaniu matki z synem w oczach cesarzowej Eugenii nie było jednak tych łez, o których mówił biskup orleański, a i 14-letni książę, choć oczy miał czerwone, nie płakał, widocznie wysiłkami woli panując nad sobą. Nie był to jednak już ten sam młody chłopiec, dziecko naiwne i wesołe; rysy uwydatniły się, w twarzy była już powaga, przebijała się godność i poczucie wysokiego stanowiska. Ponieważ miał dopiero lat 14 i przeszedł z ledwo stopnie kaprala i sierżanta, więc awansowano go na podporucznika, nie dając mu jednak żadnych podkomendnych. Miał tylko świtę, złożoną z komendantów Lamey i Clary, oraz swojego koniuszego Bachon, który go nie opuszczał od kołyski.

Po pożegnaniu w St. Cloud, gdzie cesarz długo polecał sprawy kraju i dynastyi Emilowi Olivier i jeszcze wsiadając do wagonu ściskał go za rękę mówiąc: „we wszystkiem na pana liczę", Napoleon wraz z synem zatrzymali się dopiero w Metz. Mieli tam przebyć dwa dni wszystkiego, ale pokazało się zaraz na pierwszym kroku, że pod każdym względem źle obliczano równie siły armii, jak czas do mobilizacyi potrzebny. W Metz cesarz z synem przebyli do 14-go sierpnia. Był to względnie najszczęśliwszy czas dla młodego księcia. Każdy chłopiec lubi zmianę, równie jak zabawę w wojnę, a on miał uczestniczyć w prawdziwej wojnie i naturalnie w marzeniach swoich odnosić same zwycięstwa. Nawet drobne prywacye, których doświadczał, były dla niego przyjemne, bo żył życiem żołnierskiem w obozie. Cesarz starał się go utrzymać w tym młodzieńczym zapale, a przytem pragnął go wykształcić na przyszłego dowódzcę armii. Czternastoletni podporucznik był też dopuszczony do odczytywania wszystkich depesz i asystował naradom wojennym. Pod Saarbrücken książę cesarski otrzymał chrzest ognia; naturalnie, że młody chłopak nie był w samem centrum bitwy i nie wystawiono go na żadne niebezpieczeństwa. Widział tylko zbliska utarczkę, mógł sobie zdać sprawę z tego, co to jest bitwa. Cesarz zatelegrafował o tym ważnym dla dziecka wypadku do matki, ale depesze, zamiast zachować dla siebie, rejentka opublikować kazała, narażając syna u wrót życia na śmieszność. Za to, że zbierał mały chłopiec martwe kule z ziemi na pobojowisku, co przecież było tylko niewinną zabawką z jego strony, stał się potem przedmiotem pocisków, żartów i docinków wszystkich dzienników opozycyjnych, równie jak agitatorów kawiarnianych zebrań. To był także jeden z powodów, który skłonił księcia do wyprawy w kraj Zulusów, bo chciał dowieść, że ma odwagę, którą od owej depeszy z pod Saarbrucken w wątpliwość podawano.

Po kilku dniach zaledwie wieść o strasznych porażkach pod Wissemburgiem, Forbach i Reichshofen rozeszła się po całym kraju, a więc poznać ją musiał i następca tronu. Trudno sobie wyobrazić wstrząśnienie moralne, przerażenie, jakiego doznał wtedy jego młodociany umysł. Uczeń nie mógł mieć wielkiego przywiązania do swego nauczyciela jenerała Frossard, bo jenerał Frossard był dla niego nadzwyczaj surowym, ale wierzył za to przynajmniej w jego zdolności strategiczne. Jenerał od trzech lat wypracowywał „w największej tajemnicy w ciszy swojego gabinetu" plan ataku na Saarbrücken, jemu też powierzono dowództwo nad drugim korpusem, z którym miał swoje znakomite pomysły wykonać. Był to wstęp do kampanii i ażeby się powiódł, drugi korpus wspierany był jeszcze przez trzeci i czwarty. Niestety, plan tak dawno opracowany i tak dojrzały przy biurku jenerała w wykonaniu okazał się najzupełniejniej wadliwym. Trzy korpusy armii atakowały Saarbrücken, którego niewzmocniona załoga żadnemi posiłkami, a więc będąca wtedy jeszcze na stopie pokojowej wynosiła wszystkiego 1500 ludzi. I ta garstka oparła się trzem korpusom. Zaiste trudno o większy dowód niedołęstwa ze strony jenerała Frossard'a, autora genialnych planów. To niepowodzenie na całą kampanię wywrzeć musiało wpływ najfatalniejszy i wstrząsnąć też do głębi równie serce cesarza, jak jego syna. Książę tak żywo odczuł zarówno pierwszą porażkę, jak i zmianę pojęć o wielkim talencie strategicznym swego nauczyciela, że dostał gorączki, która wzmagała się ciągle w miarę smutnych wiadomości, jakie przychodziły o pogromie ze wszystkich stron kraju. Ukrywał swoją chorobę, ale cesarz prawdziwie „macierzyńskiem okiem" spostrzegł prędko stan wycieńczenia dziecka. Biegł chłopiec naprzeciwko każdego kuryera, paliła go żądza nowych, szczęśliwszych wiadomości, a przychodziły coraz smutniejsze, coraz bardziej przerażające. To też młodzieniec, bo cierpienie przerodziło dziecko w młodzieńca, zniknął prawie w oczach. Sen i apetyt stracił zupełnie, a gwałtowne bóle głowy wraz z gorączką sprawiły, że książę chwiał się na nogach, chodził jak błędny lub pijany. Cesarz zatelegrafował do żony o stanie, w jakim się syn znajduje, i oczekiwał ciągle od regentki depeszy, wzywającej następcę tronu do powrotu, a tem więcej miał prawo jej się spodziewać, że rada ministrów żądała przybycia księcia do Paryża.

Depesza urzędowa do głównej kwatery w Metz brzmi: „Jednomyślnie rada ministrów i rada przyboczna uznały, że powrót księcia cesarskiego do Paryża jest bardzo pożądany". Cesarzowa regentka do tej depeszy zrobiła dopisek swoją cyfrą prywatną: „Z powodów, których nie mogę wytłómaczyć w tej depeszy, życzę sobie, żeby Ludwik pozostał przy armii, żeby cesarz, obiecując jego powrót, nie pozwolił na niego faktycznie". W ten sposób regentka wypełniała postanowienie gabinetu ministrów, tak matka dbała o zdrowie a może i życie swego jedynaka.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.